Rok I. Kraków, dnia 20 Sierpnia 1882 r. Nr. 10.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

PO DZIESIĘCIU LATACH.

NOWELLA

Walerji Marrené.

— Jak pani znajdujesz pana X?

— Miły, rozumny, uczony.

— A jego książka?

— Zajmująca.

— A jego artykuły?

— Znakomite!

Odpowiedzi te dawała mi panna Joanna bez namysłu żadnego, z zupełnym spokojem, tak, iż można było przysiądz, że mówiła to co myślała.

I ja byłbym przysiągł także, gdyby nie to, że byłem bardzo dawnym znajomym panny Joanny i że w czasie, gdy usta jej wymawiały wyżej przytoczone odpowiedzi, maleńkie, ciemne znamię, w kąciku jej ust, nieco nad górną wargą, drgało nieznacznie — tak nieznacznie, że nie zauważyłby tego nikt zapewnie,

Ja jednak zauważyłem. Och! bo owo znamię pamiętałem tak doskonale z lat dawnych i to jego drganie poprzedzające uśmiech znałem dobrze... bo jakżeż ja wyczekiwałem nieraz tego uśmiechu?

A trzeba wiedzieć, że twarz panny Joanny była białą, nie ową białością mleka lub kredy, które nadają twarzy narzucone pudry płynne, sypkie i niesypkie. Twarz ta była białą z odcieniem matowym, zaledwie zabarwioną niedostrzegalnym karminem na policzkach, tak, że owe znamię odcinało się na niej wyraźnie, skupiało wzrok i zdawało się umieszczone w tem właśnie miejscu, by ponętniejszym uczynić jej uśmiech, bardziej koralowemi usta i bardziej białemi drobne jej ząbki.

Tak się to przynajmniej wydawało kiedyś, lat temu dziesięć, gdy byłem bardzo jeszcze młodym, a panna Joanna liczyła szesnastą wiosnę, bo wówczas — mogę to przecież dzisiaj powiedzieć — kochałem się w niej na zabój — no, jak zwykle kochają się w czasie wakacyj studenci uniwersytetu w stryjeczno-wujeczno-ciotecznych siostrach, gdy te są podobne do panny Joanny.

Do dziś dnia, dziwię się jeszcze dlaczego nie wypowiedziałem jej wówczas swoich zapałów — ale bo! ochoty mi nie zbrakło — tylko... panna Joanna śmiała się tak często, a czasem wśród śmiechu tak jakoś umiała spojrzeć prosto w oczy poważnie, badawczo, szczerze, że słowa zamierały na ustach — i ja, ja co przecież oświadczałem się niejednej kuzynce, w obec niej znajdowałem się nie jak student uniwersytecki, ale jak żak szkolny.

A przecież rozmawiałem z nią nieraz — rozmawiałem godzinami całemi i żadna mama, ciocia, ani guwernantka nie stały mi na zawadzie.

KRONIKA.

Niebo wciąż płacze, a człek się śmieje
Gdy do theatrum chodzi «pod Wilka,»
Gdzie mężczyzn kilku i niewiast kilka
Dziwne doprawdy stroją firleje..
Jakie tam szaty, a jakie miny,
Jakie to żwawe, jakie fertyczne,
Jakie damulki, jakie dziewczyny,
Śliczne z gębusi i wszędzie śliczne!

Tak jest! operetka lwowska podjęła i świetnie wykonała missję rozweselenia znudzonych Krakowiaków.

Choć deszcz kapał, kapał, kapał
Człek się z śmiechu za brzuch łapał.

A choć się tymczasem p. Estreicher i Dr. W. (znany imiennie p. Estreicherowi) kłócili o Szczawnicę, to intelligencja i nieintelligencja krakowska nic do walki się nie mięszała,

Woląc za to w «lustiege Krieg»
Panny Bocskaj rozkoszny dyg.

Całe więc tłumy spieszyły i spieszą pod Wilka, a i ja z niemi.

A choć deszcz mnie często zlał
Tom ja o to mało dbał
I myślałem sobie: poczkaj,
Rozweseli ciebie Bocskaj.

A nie ja jeden tak myślałem. Kilkanaście tuzinów słomianych wdowców, kilkunastu adwokatów z klientelą i bez klienteli, poważni konsyljarze sądowi, dzielni c. k. obrońcy c. k. ojczyzny, doktorzy wewnętrzni, oczowi, zębowi i wstydliwi — wszystko to łączyło się w jednym chórze podziwu. I gdyby tak w tym czasie przyszło do wyboru posłów do sejmu i Rady Państwa, to

W kąt by poszedł Mieroszowski
Posłem byłby pan Myszkowski.
Krzyczałby świat katolicki
Precz z Chrzanowskim, hoch Nowicki!
Niech Zatorski idzie precz!
Skalski posłem — to mi rzecz!

Przy wyborze na prezydenta miasta smutne byłoby położenie p. Weigla:

Jego miejsce (to nie bajka)
Zajęłaby wnet Bocskajka.

Pani Skalskiej ofiarowanoby w tym razie redakcję «Czasu,» bo prócz świetnego głosu ma talent do ról serjo-komicznych, panu Almie dyrektorstwo którego z banków, bo umie cienko śpiewać, a resztę personalu mianowanoby «honorowymi stańczykami» z uwolnieniem od taksy i prawem do tytułu ekscellencji.

Ja zrzuciłbym wówczas całkiem
Kronikarskie ciężkie pęta,
I starałbym się by zostać
Sekretarzem... prezydenta.

Ale zapewnie ciekawi jesteście, szanowni czytelnicy, wiedzieć zkąd ja wpadłem w takie rymowanie:

Zkąd dziś prozy nie szanuję
I na gwałt deotymuję?

Otóż trzeba wam wiedzieć, kochani czytelnicy (darujcie mi poufałość), że zaprenumerowałem sobie dzieła nieśmiertelnej pamięci biskupa warmińskiego, które jak to wam wiadomo wydaje wielki mój przyja-

Ale bo panna Joanna nie była podobną do wszystkich innych kuzynek; a gdzie to jej myśl nie szperała, dokąd nie zachodziły marzenia! Panna Joanna była swobodna jak ptaszek, wesoła jak czeczotka, żywa jak iskra, sprytna jak szatanek, szczera jak złoto, a śmiała, a nieopatrzna, a harda jak — jak, doprawdy nie znajduję na to porównania, chyba powiem, że była śmiałą, nieopatrzną i hardą jak... prawda.

Czyż potrzebuję dodać, że panna Joanna mogła być tem wszystkiem bezkarnie, bo była ona jedynaczką, bo ojciec i matka nie krępowali jej niczem, a choćby skrępować chcieli, to pieszczocha rozbroiłaby ich jednem spojrzeniem, jednym uśmiechem, i wreszcie, bo... rachowano ją na pięćkroć sto tysięcy posagu!

A że ja właśnie miałem sobie zdobywać dopiero chleb i stanowisko... że miałem także swoją dumę, to sądzę czytelniku, iż dziwić się nie będziesz, jeźli wtedy nie oświadczyłem się pannie Joannie.

Potem, wyjechałem; potem rozdzieliły nas różne losu koleje i nietylko, że nie widziałem jej więcej, ale i mało co słyszałem o niej kiedy.

A przez ten czas...

Spodziewam się, iż nikt nie posądzi mnie o to, bym się kochał przez te lat dziesięć, wiernie i stale wciąż w pannie Joannie; kochałem się wprawdzie i nieraz, tylko nie w niej. Nie byłem wcale romansowym, ale to wcale a wcale — więc nawet nie przyszło mi na myśl, by inaczej być mogło.

Zresztą, byłem pewny, że oddawna poszła już za mąż, bo przecież nie darmo miała pięćkroć stotysięcy złotych posagu!

A kiedy zobaczyłem ją znowu, serce bynajmniej nie rozsadzało mi piersi, nie czułem ani niespokojnych dreszczy, ani palącego pragnienia przyspieszyć ową chwilę. Co prawda, byłem wówczas zupełnie kim innym zajęty. Spotkanie więc nasze było tak spokojne, tak zwyczajne, tak obojętne, jak gdyby rozdzielało nas od owych wakacyj nie dziesięć lat czasu, ale parę miesięcy i jak gdybyśmy w czasie tych wakacyj nie zamieniali nigdy wzajem spojrzeń, uśmiechów i najplatoniczniejszych objawów uczuć wzajemnych.

Spotkaliśmy się, podaliśmy sobie rękę, i nie wiem nawet czy wspomnieliśmy o dawnych czasach.

Ja nie byłem wcale romansowy; panna Joanna nie chorowała na sentymentalizm.

Stosunki nasze zawiązały się na nowo, na odmiennych warunkach i były tak sobie dobremi przyjacielskiemi stosunkami.

Biedna panna Joanna! Podobno przeszła ona wiele nieszczęść, rodzice jej stracili majątek i zostawili ją sierotą, podobno sama zarabiała na swoje utrzymanie. Ale ponieważ nie mówiła mi o swoich nieszczęściach więc i ja nie zapytywałem, może przez delikatność, może przez obojętność, sam nie wiem. Ale jakoś do serdeczniejszej rozmowy nigdy pomiędzy nami nie przyszło. Spotkawszy się, gawędziliśmy o tem i o owem jak zwykle.

Cóż chcecie, spotykałem pannę Joannę czasami, a przeszłość tak zupełnie wywietrzała mi z głowy, ale to tak zupełnie, iż zapomniałem o tem, że się w niej kiedykolwiek kochałem. Może dlatego, że to się działo tak dawno, a może też i dlatego, że panna Joanna tak mało przypominała ową żywą, polotną, zawsze śmiejącą się istotę, jaką była kiedyś, a którą ja sam, jak przez mgłę pamiętałem, iż czyniła na mnie wrażenie obcej istoty, noszącej tylko imię znajome.

Są twarze, którym nie przystoi smutek, zamyślenie, powaga.

Teraz dopiero, gdy mówiliśmy o panu X, którego osoba tylko co opuściła salon, a książka świeżo wydana leżała na stole, zauważyłem lekkie drganie ciemnej muszki nad jej ustami i ot, ta muszka przywiodła mi na pamięć całą przeszłość. Czemu? — sam nie wiem doprawdy.

Byłem dnia tego w bardzo złym humorze; mleczno biała blondynka, z którą byłem w czułych stosunkach, stawała się z każdym dniem więcej wymagającą. Wprawdzie interesa moje majątkowe pozwalały mi zadość uczynić nie jednej fantazji — przecież fantazje blondynki zdawały mi się dzisiaj bardzo wygórowane względnie do wartości jej samej.

A przytem dlaczego panna Joanna chwaliła pana X, który zdawał mi się w tej chwili najnieznośniejszym z ludzi. Wszakże rozprawiał przez godzinę nie dając nikomu przyjść do słowa i objaśniając nas wszystkich, jak z katedry, o rzeczach, o których wiedzieliśmy doskonale.

Znajdowaliśmy się oboje w salonie jednej ze wspólnych ciotek naszych, zajmującej się literaturą i która jak istna muza rozprawiała w przyległym gabinecie z gronem wybranych gości.

Nie wiem doprawdy jak się to stało, że ja i panna Joanna znaleźliśmy się we dwoje przy małym stoliczku w salonie, w kąciku najbardziej oddalonym od owego gabinetu.

Panna Joanna siedziała na kanapce, ja naprzeciwko niej na krześle, a lampa stojąca obok na konsoli, rzucała pełne światło

---

ciel a jeszcze większy księgarz p. K. Bartoszewicz. Zapłaciwszy nędzne 3 renie dostałem na początek tom gruby o 330 stonnicach i jeszcze dostanę takich tomów cztery. Ponieważ zaś należę do tych, co książkę kupiwszy czytają ją, przeto odniosę prawie za darmo wielki pożytek duszny. Bo lubo nie raz i nie dwa razy czytałem pisma księcia poetów, to i dziesiąty raz i dwudziesty skuszę się na przejrzenie ich, będąc tego zdania, że dzieła wielkich pisarzy są jak stare wino: rozweselają umysł, podnoszą ducha i dodają sił żywotnych.

Powiecie mi: nikt nie przeczy,
Ale co to ma do rzeczy?

Otóż do rzeczy ma tyle, że przejąłem się czytaniem podróży księdza biskupa warmińskiego, który jak wiadomo pisał ją pół wierszem a pół prozą. Skutkiem tego przejęcia się jest moja dzisiejsza po części rymowana kronika.

Zresztą, choć krzykną poeci: zgrozo!
To — łatwiej pisać wierszem niż prozą.

Gdyby np. p. Iskrzycki zażalenie swoje na radcę Budzynowskiego był napisał wierszem, to każdy wziąłby je za humoreskę, ćwiczenie to jednak napisane prozą mimowoli każe dać na ucho p. Iskrzyckiemu radę: sidi tycho, nie rypajsia, kołyś duda to piddajsia.

Gdyby dalej Dr. Czerwiński, pan na Fürstenhofie i Reformie, telegrafował wierszem do p. Estreichera, dziękując mu za besztanie Reformy, to każdy by miał Dra Czerwińskiego za «wesołego chłopca,» ale kiedy uczynił to prozą, każdy ma prawo zaśpiewać:

Spotkały się dwie Marysie
I mówiły o tem:
Czemu ten pan swą Reformę
Tak obrzuca błotem?

Dziwiły się dwie Marysie
Załamawszy rączki:
I Fürstenhof nie poradzi
Gdy w głowie zajączki.

Gdyby to wierszem, a nie prozą, pisał korespondent «Czasu,» że jakiś tam wiedeński arystokratyczny wieczór tańcujący był dowodem pojednania się narodowości, to «Djabeł» i «Szczutek» hojne honorarium ofiarowaliby takiemu humoryście, ale kiedy ten korespondent palnął podobne (z przeproszeniem) głupstwo prozą i to na serjo, przeto trudno jest nie powiedzieć,

Że gdy w Fürstenhofie weźmie kąpiel z trzysta
Może jego umysł co na tem skorzysta.
A jak nie skorzysta—po leczeniu wzniosłem
Niech przyjedzie do nas... a zostanie posłem.

Zresztą pan Koźmian, jak wiadomo tworzy operetkę, do której będzie potrzebował komika, korespondent Czasu przeto
Potrzebuje tylko kiwnąć swym paluszkiem
A będzie Cypcusiem, Mundziusiem, Pompuszkiem.

W chwili kiedy to piszę muzyka gra na rynku ex re urodzin cesarskich, a Moniuszko dokończa na gwałt «Halkę» na galowe przedstawienie.

na jej twarz, na włosy czarne, nieco kędzierzawe, spuszczające się od wierzchu głowy na kark w grubych warkoczach i pozwalała mi dostrzedz najsubtelniejszą grę wyrazu jej twarzy.

— I doprawdy pani znajdujesz pana X znakomitym?

— Ma się rozumieć — nikt o tem nie wątpi.

Tym razem muszka drgała coraz wyraźniej, a obok kącików ust rysował się cień figlarny, który przypomniał mi jak błyskawica, dawny wyraz dawnej panny Joanny.

Szukałem jej spojrzenia, ale spojrzenie skrywały spuszone powieki, twarz była znowu nieruchomą. I oczy moje błądzić po niej zaczęły.

Rysy jej kapryśne, nie odpowiadały bynajmniej żadnemu klasycznemu ideałowi. Czołowe kości wystawały, tworząc zagłębienie oczu i rozwijając się bogato ku skroniom.

Nos wysuwał się naprzód, rysując śmiałą, energiczną linję profilu, zakończoną delikatnemi nozdrzami, których ruchomy wykrój, zdradzał subtelność wrażeń. Usta pełne koralowe jak dawniej, nie były jednak tak skore do śmiechu, do słów prędkich; przeciwnie, usta te wyglądały surowo — poważnie — jakby przecięte, rozchylały się powoli i wypowiadały mierzone wyrazy.

W miarę jak uważniej patrzyłem na pannę Joannę, a czyniłem to, przyznaję, pierwszy raz po naszem powtórnem spotkaniu, powracały mi do pamięci dawne chwile i dawne wspomnienia, jakby tam one leżały zaklęte, choć niewidzialne dla mnie do tego momentu.

Twarz ta przypomniała mi przeszłość, ale słowa były z nią w sprzeczności, to też odpowiedzi jej jakby stereotypowo czynione według pewnych szematów towarzyskich, zaczynały mię niecierpliwić, drażnić raczej, gdzie były w dysharmonji z wyrazem jaki im towarzyszył.

— A dlaczegoż pani znajdujesz pana X znakomitym? — zapytywałem dalej uparcie.

— Dlatego...

Tu jednak urwała nagle, na twarzy i w postawie zaszła wyraźna przemiana.

— Panie Karolu, niech się pan mnie nigdy o moje zdanie nie pyta, wyrzekła nagle.

— Czemu? — zawołałem.

Ściągnęła ramiona pogardliwym ruchem.

— Bo to nie warto — odpowiedziała krótko.

Kogo tyczył się ten ruch i ta odpowiedź — mnie, czy jej samej — nie wiedziałem.

Przyglądałem się jej uważnie, — czarna muszka drgała, ale jakby nie śmiechem samym, lub jakby do śmiechu mieszał się tłumiony ból.

— Nie rozumiem pani.

— A jednak to bardzo jasne.

Dla mnie przeciwnie — było to bardzo ciemne, panna Joanna musiała to wyczytać na mojej twarzy, bo mówiła dalej.

— Ja przecież nie mogę powiedzieć co myślę.

W głosie jej, gdy wymawiała to krótkie zdanie, zadźwięczało mi tyle słów i zdań wymówionych kiedyś, obudzonych znowu jakby czarem w głębi pamięci, iż zawołałem:

— Jakto, pani! pani, co zazwyczaj wprzód wymówiłaś niż pomyślałaś.

Tym razem czarna muszka już nie drgnęła, ale poruszyła się szybko, rozkosznie.

Panna Joanna rozśmiała się z mego wykrzyknika.

Ale to trwało krótko.

— Tak było dawno, bardzo dawno temu — odparła.

Mnie się zdawało, że to nie było dawno wcale, tak żywo stanęły mi w myśli owe chwile.

— Tak, to było dawno — powtórzyła — od tego czasu tyle rzeczy się zmieniło, musiałam bardzo wiele zapomnieć i wiele się nauczyć.

Nie wiem w jakiej myśli ona to mówiła. Ja zapragnąłem gwałtownie wiedzieć o czem to ona zapomnieć musiała.

— Pani zapomniałaś — szepnąłem tylko.

— Tak jest — mówiła obojętnie, nie zważając na żal wyraźny w moim głosie — dawniej miałam pewne podobieństwo do błędnych rycerzy, nie mogłam znieść cudzej krzywdy, niesprawiedliwości, fałszu, nie umiałam być na nie obojętną; gdziekolwiek było starcie, walka, bój, rzucałam się w szranki, brałam niebacznie stronę słabszego, jakbym nie wiedziała, że słabszy zawsze pobitym być musi i pociąga w przepaść tych, co śmią go bronić.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj! została mi wielka sympatja dla Don Kiszotów — oto wszystko.

— I więcej nic?

— I owszem, mam sympatję do paryasów wszelkiego rodzaju. Jest to moralna choroba, z której życie leczy mnie ciągle, a wyleczyć nie może. Ale to jest sympatja równie platoniczna jak...

Zawahała się i przerwała w połowie frazesu.

— Dokończ pani! prosiłem.

— Mój Boże,... jak wiele uczuć i myśli na świecie.

— O kim pani mówisz?

— O sobie samej, wszak powiedziałam już, że postanowiłam nie mówić nigdy o drugich.

—Czy przed nikim — zawołałem usiłując spotkać jej oczy..

Spotkałem je, — olśniło mnie ich wejrzenie proste, szczere, badawcze, takie same jak przed dziesięciu laty.

Ani się spodziewał nasz mistrz tonów chwacki
Że Halkę poprzedzi hymn austryjacki
A synowie Marsa brząkać będą szablą
Gdy ujrzą przed «Halką» uroczyste *tableaux*.
A tymczasem deszcz jak leje tak leje
Nogi twoje chlap, chlap, chlap
A deszcz z góry kap, kap, kap
Słonko tylko czasem miga,
A z pogody istna figa. —
taka sama jaka będzie z kłótni o Szczawnicę.

Choć Reforma stawia działa,
Pan Estreicher ostrzy miecze —
Nikt nikogo nie wysiecze,
A Szczawnica będzie stała
I dziwiła się okrutnie:
O co także wielkie kłótnie?

My zaś nie bierzmy w tem żadnego udziału, dopóki «wysadzona komisja» nie zbada należycie sprawy i nie zaciemni jej jeszcze należyciej. Tymczasem
Niech tam Estreicher Reformie wymyśla
My na wystawę jedźmy do Przemyśla.

Po drodze może się jeszcze dowiemy o jakim Potockim, co nie kandyduje na posła. Byłby to rzadki unikat, gdyż jak wiadomo jest dążność, aby cały sejm składał się wyłącznie z członków jednej familji. Wtenczas by nastała zgoda sejmowa, a fundusze marnowane dziś na oświatę przeznaczonoby na zaprowadzenie racjonalnego łowiectwa.

Bo u nas ten sercem trąca,
Kto wytnie w skoki zająca;
Ten na kraju stoi przedzie,
Który chodzi na niedźwiedzie;
Mężem czynu ten się czuje,
Który sarnę upoluje.

Dopiero, gdy taki pan poseł zacznie radzić i rządzić pokaże się, że
Krzyknie głośno ludzi wiela:
Jak on pysznie... bąki strzela!
I... zaproszą go uprzejmie,
By na nowo zasiadł w sejmie.

Wszedłszy na arenę polityczną obawiam się abym nie wpadł aż na sprawę *egypską*, jak ją nazywa Gazeta Krakowska, kończę przeto kronikę tem życzeniem;
By dla szczęścia dziennikarzy
Pan Arabi bił się długo,
A dla wzroku kronikarzy
Koźmian dał nam Bocskaj drugą.

K. B.

— Przed nikim — odparła odrazu.

A ja wierzyłem jej, wierzyłem bez wahania, jakbym był to wówczas uczynił.

— I nie zechcesz pani zrobić wyjątku?

— Wyjątku? — powtórzyła zwolna, jakby namyślając się— dla kogo i dlaczego?

— Dla tych co myślą i czują jak pani.

— A zkąd pan wiesz co ja myślę i czuję?

— Wszak powiedziałaś to pani sama, masz sympatję dla Don Kiszotów — ja także, lubisz paryasów i wydziedziczonych— ja także, litujesz się nad wszelką nędzą, słabością, upadkiem — ja także...

Nie wiem do jakich konsekwencyj byłbym dalej doszedł, nie wiem nawet dlaczego mówiłem to wszystko, bo co prawda do tej chwili nigdy nie przychodziło mi do głowy myśleć o Don Kiszocie, paryasach i t. p. rzeczach. A jednak śmiało mogę przysiądz, że nie kłamałem.

Uczucia i myśli te nowe były dla mnie, ale ja nie czułem w tej chwili tego, że były nowe, przeciwnie, zdawało mi się, że od wieków wiecznie leżały one w głębi mojej istoty i tylko jakby zbudzone z długiego letargu powracały mi teraz na usta.

Chciałem mówić dalej, miałem wnet jakiś dziwny zapał i byłbym może wypowiedział wiele rzeczy ciekawych, gdyby nie to, że panna Joanna przerwała mi wybuchem śmiechu.

Było to wcale niegrzecznie, było nawet nieprzyzwoicie, bo chociaż byliśmy cioteczno-wujeczno-stryjecznem rodzeństwem, to wcale nie upoważnia dobrze wychowanej panny do parsknięcia śmiechem w oczy człowiekowi, który wypowiada swoje bezinteresowne przekonania.

To też o mało nie obraziłem się śmiertelnie.

Już, już gotów byłem powstać i zostawić ją objawom niewczesnej wesołości, szczęściem przypomniałem sobie, że panna Joanna nie była nigdy tem, co nazywają doskonale wychowaną panną.

Śmiech jej obudził we mnie jakieś echa wspomnień zamierzchłych, kiedy rozlegał się nieustannie wśród starych ścian modrzewiowego dworu, wśród ciemnych szpalerów ogrodu, kiedy ja byłem studentem a ona szesnastoletnią dzieweczką.

Tylko teraz uśmiech ten był inny, drgały w nim jakieś tony głębokie, nieznane dawniej, raz suche jak szyderstwo, drugi raz łzawe jak boleść; kaskada perłowych tonów, rwała się co chwila jakby struny wesela były potargane.

Nie myślałem już gniewać się, nie myślałem odchodzić, słuchałem.

A kiedy stała się cisza, zapytałem tylko bardzo spokojnie i bardzo cicho.

— Dlaczego pani się śmiałaś?

Pytanie moje spotkało się z zapytaniem Joanny.

— Dlaczego pan mówisz to, o czem nie myślałeś nigdy?

Zmieszałem się zrazu, bo rzeczywiście miała słuszność, ale po chwili uznałem, że najlepiej uczynię wypowiadając szczerą prawdę.

— Nie myślałem dotąd, ale pomyślałem teraz — odparłem. Czy sądzisz mnie pani niezdolnym do zrozumienia nowej myśli?

— Oh! jest to rzecz stara jak świat, a jednak wiecznie nowa.

Zdawało mi się, że miała jeszcze jakieś słowo na końcu języka, przecież niedokończone zdanie pozostało takiem, chociaż nie przerwałem jej niczem.

— Mówmy lepiej o panu X — wyrzekła po chwili.

Przyznaję, iż w tej chwili nienawidziłem pana X, który mi nigdy nic nie zawinił.

— Dlaczegoż o nim? Czem ten człowiek zasługuje na uwagę pani?

— Pan X jest typem — odparła.

— Typem chyba zarozumialca, pedanta, pyszałka; chodzi na szczudłach, nadęty jak balon własną wielkością, drapuje się w togę nieomylności, wygłasza wyroki.

— Pan X. jest typem — powtórzyła, śmiejąc się z mego zapału, który niezmiernie szanuję.

— A toż dlaczego?

— Pan X niema najmniejszej sympatji dla Don Kiszota, którego nie rozumie; lęka się nietylko wiatraków, ale nawet ich cienia — paryasów i wszelkiego rodzaju upadłych depcze, a nawet kiedy może, dobija — w imię porządku społecznego. Pan X. zrozumiał doskonale swój wiek i jego dążności, wie, że na jedną głowę myślącą samoistnie, istnieje dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć zawsze gotowych powtarzać cudzą nutę i jako człowiek racjonalny nie troszczy się bynajmniej o tego tysiącznego człowieka, abstrachuje go — ignoruje, a natomiast przemawia do potężnej większości i ma ją za sobą, bo stosuje się do jej poziomu. A gdy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć głosów okrzyknie go wielkim, to głos tysiącznego, choćby on nawet posiadał Salomonową mądrość, zagłuszonym będzie. I dlatego, choćby pan X. wydawał się panu jeszcze dziesięć razy głupszym i zarozumialszym i bardziej nadętym, jest to potęga, z którą liczyć się należy.

Panna Joanna mówiła to wszystko bardzo spokojnie, w ten sposób jakby wykładała jakie chemiczne prawo, lub matematyczne działanie. Rzeczywiście była to rzecz prosta bardzo, a jednak ja, który spotykałem pana X przynajmniej trzy razy w tygodniu nigdy nie znalazłem dla niego równie trafnej, prostej i beznamiętnej definicji.

— Ale tak być nie powinno! — zawołałem.

Przyznaję był to śmieszny wykrzyknik, wypowiedziałem go sam nie wiem dlaczego — wyrwał mi się gwałtem, jako protest indywidualny przeciw brutalnym siłom rządzącym światem.

Panna Joanna jednak nie śmiała się ze mnie.

Wstrząsnęła głową i rzekła:

— Kiedy byłam małą jeszcze dziewczynką, miałam ślicznego kanarka i kochałam go z całego serca. Dnia pewnego znalazłam go leżącego nieruchomie z nóżkami wyciągniętemi, z nastroszonemi piórkami. Przelękniona pochwyciłam go, był zimny i sztywny. Krzyknęłam i zaczęłam płakać. Przybiegła bona i powiedziała mi, że kanarek nie żyje. Nie chciałam temu wierzyć, zanosiłam się od łez i zawołałam, że tak być nie powinno, że kanarek, którego ja kocham, nie powinien być martwy. Dziwić się temu nie trzeba, była to pierwsza moja zgryzota, wrażenie to zostało mi w pamięci. Ileż razy potem przychodziło mi na myśl toż samo, ileż razy serce buntowało się przeciw twardej konieczności. Ale pomimo buntów, łez i rozpaczy, konieczność pozostanie nieugiętą.

— Nie masz pani słuszności — zawołałem — porównywając niezmienne prawa natury ź prawami, które jest w mocy społeczeństwa przyjąć lub odrzucić. (C. d. n.)

Z niedrukowanych poezyj Mieczysława Romanowskiego.

POSŁANNIK.

(Dokończenie).

W szlacheckim dworku na starym kominie
Pali się lampa o nocnej godzinie,
Przez okno widać mgłą okryte pole —
W świetlicy mężczyzn dwóch siedzi przy stole.
Coś mówią — długo mówili coś z cicha;

Potem pan domu wydobył kielicha,
Napełnił winem, — otarł łzę z powieki:
„Zdrowie twe piję! — z takimi żyć wieki;
Bogdaj się tacy jak kłosy rodzili!
Kiedy cię słyszę, aż się dusza sili
I serce bije o te piersi harde...
O nie! nie pójdziem na hańbę, na wzgardę!
Oto masz rękę! ja — i moje syny!
I cały dom mój! i wszyscy z rodziny!...
Mam ja też chwatów i w mojej gawiedzi —
A za mną pójdą i bracia sąsiedzi!“

A młodzian blady wtedy myślał sobie:
„O matko moja! tyś jeszcze nie w grobie!..
Są czyste krople pośród mętnej fali!..“
Potem w zadumie cichej poszedł dalej.

I było cicho za chwilę w świetlicy.
Lampa płonęła przy Bogarodzicy:
Tu matka w modłach klęczała z córkami.
A ojciec — cicho coś mówił z synami.

* *

*

Tam w pańskim dworze tysiące lamp płonie,
Słychać muzykę, płyną kadzidł wonie;
Wesołe gwary — śmiechy i zabawa;
Tańcują młodzi, — tnie muzyka żwawa.
A wtem do sali młodzian zadumany
Wszedł między gości, nikomu nieznany.
Spojrzał na taniec... patrzcie! taniec wiedzie
Wróg jego ziemi z kochanką na przedzie!

Młodzieniec pobladł — nie wyrzekł i słowa.
Na licu siadła jakaś myśl grobowa;
Spoglądał dziko na gawiedź swawolną
I myślał w duszy: „mnie już czuć niewolno!..“

Poszedł do młodych, — oni go poznali:
„To Zorjan! witaj!.. ty powracasz z dali?“
On im coś szepnął — w pół umilkła wrzawa,
Mniej już tańczyło, smutniała zabawa;
A młodzian blady błogosławił chwilę
I myślał: „Dobrze, że jest serc choć tyle!“

Lecz gospodarza dziwi ta odmiana.
Spojrzał po gościach... i poznał Zorjana.
Zaśmiał się lekko, gdy w nim smutek zoczył,
Potem do wroga co rychlej poskoczył,
Wziął go pod ramię i wyszedł ze sali... —
Młodzieniec westchnął, — smutny poszedł dalej...

I ścisnął w ręku swój kostur tułaczy,
I posłał w niebo wzrok pełen rozpaczy,
Potem szedł smutny na grody, na sioła,
Z boleścią w sercu, ze słowem anioła.

* *

*

O! jeźli nie wiesz co to rozpacz dzika,
Jeżeliś nigdy z światem się nie zmierzył,
Nie waż się patrzeć w oczy *Samotnika*
Co całe życie bez nadziei przeżył —
Bo w tej źrenicy przyćmionej powieką,
Jeźli odgadniesz myśl wielką, daleką,
Która go wiodła przez ludów cierpienie,
To zamrą w tobie lubych marzeń cienie,
Będziesz *straszydłem przyszłości* wśród świata —
Orłem, co myślą ponad braci wzlata,
I serce niegdyś do uciechy drżące
Stanie się nieme — dzikie — bolejące.
Sam jeden będziesz z twojemi myślami,
Jakoby wulkan ściśnięty lodami.

A gdy nie pojmiesz blasku tej źrenicy,
Gdzie myśl spoczywa nakształt błyskawicy,
To go się zlękniesz jak grobowej mary, —
Myśl twa ucieknie do dziecinnej wiary,
Powiesz: „to upiór, co zmartwychwstał z trumny!..“
I jako listek zadrżysz... bezrozumny!

. . . Oto noc głucha jak grobu milczenie.
Ustały szmery liści i gałązek,
Przez sieć lasową księżyca promienie
Lecą na ziemię nakształt srebrnych wstążek
I w kroplach rosy skrzą się tajemnicze,
Jako w źrenicy pałające myśli.
Po nad polami lecą mgły zwodnicze
I nocny ognik błędne widma kréśli,
Co ledwie migną nad starą mogiłą,
Znikają w dali, jakby ich nie było...

Kto jest ten człowiek z rozpaczą na twarzy?
Usta ściśnięte — jak u trupa sine,
Źrenica dziwnym odblaskiem się żarzy:
Gdy myślą sięgnie — tam — w duszy głębinę
I grzmiącym głosem przerwie nocną ciszę,
To drżą jak listki jego towarzysze...

Oto — słyszycie — słowo z ust mu płynie:
„Bracia tułacze! jesteśmy u celu!..
Rzucone ziarnko w sercu nie zaginie!..
Dzisiaj nas jeszcze pojęło niewielu —
Inni szydzili; ich klątwy bezumne
O nasze łona biły jak o trumnę...
Kiedyś i dla nich słońce zajaśnieje, —
A to są nasze ostatnie nadzieje!..
Ha! wy myślicie doczekać tej chwili?!
Oh, idźcie konać tak jakoście żyli,
Nieznane światu gwiazdy tajemnicze!
Kto śmierci piętno wcisnął na oblicze
I przeszedł taką pielgrzymkę mozolną —
Niechaj umiera!.. Nam już *żyć* niewolno!..“

I poszedł młodzian, — grono towarzyszy
Znikło jak echa pośród nocnej ciszy...
Każdy *do kresu* po swojej kolei,
Z spokojną twarzą — ale bez nadziei!

* *

*

Podniósł się orzeł nad Kaukazu szczyty,
Dumną źrenicą ugodził w błękity
I patrzał długo jako na zachodzie
Jaskrawe słońce kryło się w pogodzie,
A po dolinach swobodnie pląsała
Uroczem pasmem nad ziemią mgła biała.
I było cicho; — tylko czasem zdala
Jękło coś głucho, lub plusnęła fala,
Gdy krzew zwieszony na skalistym brzegu
Porwała rączo i uniosła w biegu...
I znowu cicho.

Ale przed godziną
W morderczym boju stały dwa narody:
Jednym car kazał, — posłuchali — giną,
Drudzy ginęli w obronie swobody.
Latały gromy z przekleństwem rzucone —
A teraz — wszystko spokojne — uśpione.

Między trupami tam widać młodziana:
W piersi głęboka od kindżału rana;
Siedzi posępny oparty na dłoni, —
I czeka chwili, aż w zbolałej skroni
Po raz ostatni już tętno uderzy;
Przy nim ktoś klęczy w czerkieskiej odzieży.

Kto on? w rossyjskim mundurze ubrany...
To Zorjan w carskie sałdaty oddany! —

A któż ten czerkies? Jeden z towarzyszy,
Do których mówił pośród nocnej ciszy.
I on to dzisiaj w tej walce rozpacznej
Kindżał w Zorjana piersi pchnął niebaczny
A teraz klęcząc błagał przebaczenia.
Ten płakał, — Zorjan kończył swe cierpienia.

Patrzcie! z tornistry dobył jakiś zwitek...
I rzekł: „To serca najdroższy zabytek!“
Otwiera — cóż tam? Garść ojczystej ziemi
Całuje Zorjan usty spalonemi! — —
Potem spokojnie na zachód patrzali...
I Zorjan skonał. Czerkies poszedł dalej.

I było cicho, — zamarły gdzieś jęki,
Niby odgłosy przerwanej piosenki.
I czasem tylko rozburzone fale
Rwały gałązki owisłe na skale,
Albo rzucone o granity w biegu
W tysiącach kropli padały na brzegu.

USTĘP Z ŻYCIA MICKIEWICZA.

UWIĘZIENIE I WYROK WYGNANIA.

Napisał

Dr. Teofil Ziemba.

I.

Od wiosny 1823 roku zaczęły się gromadzić chmury nad pogodnem dotąd niebem uniwersytetu wileńskiego.

Były to zresztą czasy, kiedy z powodu zamachu dokonanego na życie Kotzebnego (w r. 1819), każdy objaw ruchu między młodzieżą, obudzał wielką czujmość rządu rossyjskiego, podejrzywającego tak łatwo o zamiary, dążące do podkopania porządku spłecznego lub obalenia włady imperatorskiej.

Nie potrzeba więc było nadzwyczajnych wypadków, aby zwrócić uwagę na ową młodzież wileńską, która pod wpływem Filomatów i Filaretów przybierała coraz wyraźniej charakter jakby jakiejś jednolitej, skupionej w sobie i widocznie ku poważnym celom dążącej falangi.

Celem takim była przedewszystkiem nauka, to też z każdym rokiem wzrastała liczba młodzieży, garnącej się do studjów uniwersyteckich, tak, że w r. 1823 było jej więcej niż trzy razy tyle, jak w r. 1803 [1]).

Zamiłowanie do nauk stawało się coraz powszechniejsze i wnikało w szerokie koła całego tamtejszego obywatelstwa, tak, iż synowie wielu zamożnych rodzin litewskich poświęcali się z zapałem naukom lub literaturze.

Nawet przedmiot tak ścisły jak matematyka, miał pośród nich niepospolitych miłośników. Gdy bowiem w uniwersytecie po Zacharjaszu Niemczewskim opróżnioną została katedra matematyki, nie potrzeba już było jak dawniej szukać jego następcy gdzieś daleko za granicami Litwy. Kandydat gotowy i zupełnie odpowiadający wszystkim warunkom, znalazł się w osobie podkomorzego i marszałka pińskiego [2]) Józefa Twardowskiego, jednego z owych dawniejszych uczniów uniwersytetu wileńskiego, którzy jeszcze w r. 1805 wraz z Lelewelem i Borowskim, należeli do towarzystwa filomatycznego.

Gdy nadto dotychczasowy rektor Szymon Malewski złożył w kwietniu 1822 r. urzędowanie swoje na ręce samego księcia kuratora Adama Czartoryskiego, już wówczas było prawie rzeczą niewątpliwą, że rektorem zostanie wspomniony Twardowski, tembardziej, że i sam książe Kurator życzył sobie tego i młodsi profesorowie (jak: Lelewel, Borowski) byli po jego stronie.

I nie sam tylko Lelewel cieszył się wówczas nadzieją, że «jeszcze odmłodnieje długo zgrzybiały uniwersytet» (Listy I. 357), gdy niestety nieprzewidziane wypadki stanęły temu na przeszkodzie, a nawet zamiast odmłodnienia uniwersytetu zadały mu raczej cios zabójczy i w końcu zupełną jego sprowadziły ruinę.

Już z chwilą powtórnego przybycia Lelewela do Wilna rozpoczęło się właściwie nowe w uniwersytecie życie, którego zbyt wymownym objawem było przyjęcie, jakiego doznał znakomity historyk zaraz na pierwszej swojej lekcji.

Od owego czasu Lelewel stał się prawie bożyszczem młodzieży wileńskiej i jeszcze w marcu r. 1822 pisał do swego ojca. (Listy. I. 354):

«Że o Wilnie plotek nie brak, a z niem i o mnie, nic dziwnego; gdy ich pełno jest *po rosyjskich dziennikach*... Audytorjum zawsze liczne, brzęczą już lutnie pochwałami, a ja słucham rady Matki Dobrodziejki i bawełnę w uszy kładę. Nie mam na co narzekać teraz, ale lepiej było, kiedy mogłem bez hałasu i bez wystawy pracować.»

Liczba uczniów, pragnących słuchać jego wykładów była tak znaczną, że żadna z sal uniwersyteckich nie mogła ich pomieścić. — W najobszerniejszej nawet «było mu gorąco,» bo jak sam pisze przynajmniej po 300 bywało na jego lekcjach.

Wszakże nie sama tylko młodzież uniwersytecka zapełniała te sale. Według wyrażenia bowiem samego Lelewela «bieliły się tam głowy między młodzieżą, a jak «siwy p. Łopaciński» stał się stałym jego słuchaczem, tak i inni znani i powszechnie poważani obywatele «zajeżdżali pojazdami lub przychodzili spacerem» na jego lekcje.

Wkrótce nawet kobiety, jak księżna Czetwertyńska, hr. Potocka, p. Zalewska i wiele innych, zaczęły odwiedzać jego «brudną salę» [1]).

Sądzimy przecież, że nie tyle rozgłos wykładów Lelewela i liczba słuchaczy jego budzić mogły niepokój w pewnych sferach, ile raczej mniemanie o republikańskich tendencjach młodego profesora. Wyraz tej opinji, która powstała już wówczas niewątpliwie w pewnych umysłach, zachował się i w «Dziadach,» gdzie (w scenie VIII. Części III,) — być może, że nie dosyć sprawiedliwie włożył poeta następujące słowa w usta znanego „*doktora.*“

Właśnie powiadałem
Jaśnie panu, że młodzież zarażają szałem,
Ucząc ich głupstw naprzykład starożytne dzieje!..
Któż nie widzi, że młodzież od tego szaleje?
I owszem, uczyć dziejów: niech się młodzież dowie
Co robili królowie, wielcy ministrowie...
Lecz po co zawsze prawić *o republikanach*,
Zawsze o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach?..

Wszystkie te okoliczności razem zebrane stały się powodem, że według własnych słów Lelewela «kurs historji stał się napiętym przedmiotem,» aby przy pierwszej nadarzonej sposobności zaczepić tak pięknie rozwijający się uniwersytet wileński. Jednak w ciągu roku 1822 nietylko nie nadarzyła się jeszcze stosowna

---

[1]) Dzienik wileński z r. 1823. Mowa rektora Twardowskiego. Tudzież Lelewel w „Listach, tom I. str. 379, mówi o blizko 900 uczniach uniwersytetu.

[2]) Lelewel. Listy! Tom I. str. 356.

[1]) Listy Lelewela tom I. w różnych miejscach.

do tego sposobność, lecz nawet objęcie rektorstwa przez Twardowskiego i nadzieja pozyskania nowej i to niepospolitej siły naukowej w takim, jak Józef Gołuchowski, profesorze. (Lelewel, Listy I. 383).

II.

Było to w słotny dzień marcowy r. 1823, gdy według Domejki na przechadzce na Antooklu, a według Dra Kaczkowskiego na bulwarze koło katedralnego kościoła w Wilnie, zaszedł następujący wypadek. Jakiś młody oficer gwardji spotkał się na wąskiem przejściu, otoczonem błotem dokoła, z pewnym słusznym i barczystym młodzieńcem. Gdy mu ten w tej chwili nie zstąpił z drogi, ofuknął go porucznik w sposób grubijański. Młodzieniec nie namyślając się wiele, pochwycił oficera za kołnierz i zepchnął do obok znajdującego się błota, a według Domejki miał w dodatku dać mu policzek.

— Jeżeliś skrzywdzony odezwał się nadto do porucznika, masz prawo wyzwać mię na pojedynek, nazywam się szewc Orłowski.

To powiedziawszy, znikł w tłumie, a tegoż samego dnia aresztowano wszystkich Orłowskich, ale między nimi nie było ani szewca ani akademika tego nazwiska [1]).

Sprawa ta doszła do wiadomości bawiącego wówczas w Wilnie wielkiego księcia Mikołaja, a chociaż władze uniwersyteckie robiły wszystko, aby go przekonać, że ów śmiałek nie należał do liczby młodzieży akademickiej, nie zdołały przecież przytłumić w nim gniewu, który odtąd zawrzał w nim ku całemu uniwersytetowi.

Jeszcze niezupełnie przycichło to zdarzenie, gdy 3 maja tegoż roku (1823) uczeń 5tej klasy gimnazjalnej nazwiskiem *Michał Plater* napisał kredą na tablicy szkolnej: «Vivat konstytucja 3go Maja!»

Słowa te pozostały niestarte przez kilka godzin szkolnych i byłyby zapewne przeszły niepostrzeżone, gdyby, podobno za pośrednictwem nauczyciela języka rosyjskiego (Ostrowskiego) nie doszły do wiadomości generał-gubernatora Korsakowa. Ten bowiem uwiadomił o tem natychmiast wielk. księcia Konstantego, a w skutek tego przybył wkrótce z Warszawy adjutant W. Księcia Nesselrode z rozkazem, aby po zrobionem śledztwie głównych sprawców tego zdarzenia t. j. uczniów klasy V. Michała Platera, Benedykta Kościałkowskiego, Jana Czechowicza, Józefa Kułaczkowskiego i cenzora klasy Kajetana Maksiewicza zabrano do wojska, jako prostych żołnierzy, a nadto, aby aresztowano natychmiast rektora uniwersytetu i prefekta gimnazjalnego Józefa Skoczkowskiego, oraz dwóch nauczycieli Aleksandra Żylińskiego i Jana Waszkiewicza.

Rozkaz ten został najzupełniej wykonany, a łatwo pojąć, jakie w skutek tego w Wilnie i w całej Litwie powstało zaniepokojenie.

Zaledwie kilkanaście dni ubiegło od aresztowania rektora i pomienionych profesorów, gdy Józef Massalski (znany jako poeta), będący wówczas nauczycielem domowym przy 12 letnim Juljuszu Słowackim, oddaje się sam w ręce śledztwa i żąda, aby go odstawiono do Warszawy, gdzie dopiero samemu W. Księciu wyjawi powód swego osobliwszego kroku.

Zrazu wzięto go za obłąkanego, ale później przekonawszy się, że nim nie jest, opieczętowano jego papiery i wraz z niemi wysłano go pod strażą do Warszawy. Po dwóch dopiero tygodniach doszła do Wilna wiadomość, że Massalski stawiony przed W. Księciem, oświadczył, że pragnął służyć w wojsku pod jego rozkazami i dlatego użył takiego sposobu, wyczytawszy go w pamiętnikach jakiegoś Francuza, który w podobny sposób odbył bezpłatną podróż do Paryża i uzyskał osobiste u króla posłuchanie.

Massalskiego oddano wkrótce do wojska, jako prostego szeregowca [1]), przejrzawszy wprzód jego papiery, między któremi znajdował się list od Jana Jankowskiego. List ten miał być nawet pierwszym powodem do późniejszego aresztowania samego Jankowskiego.

Niedługo po tem zdarzeniu, bo już 7 lipca przybył z Warszawy tajny radca senator Nowosilców z poleceniem zbadania stosunków uniwersyteckich i w ogóle ruchów objawiających się się między młodzieżą. Rektor i uwięzieni profesorowie gimnazjalni zostali wprawdzie uwolnieni z pod straży, ale zato tem pilniej rozpoczęły się poszukiwania śladu istniejących między młodzieżą stowarzyszeń.

Filareci wszakże przewidując grożące niebezpieczeństwo już dawniej zawiesili gron swoich posiedzenia i zaniechali wszelkich zgromadzeń.

Badany w sprawie tajemnych związków rektor Twardowski, wyznał, że przed jego rektorstwem istniało towarzystwo «Promienistych,» ale rozwiązane jeszcze zostało za rektorstwa Malewskiego. Nowosilcow dowiedziawszy się, że Tomasz Zan stał na czele tego towarzystwa, polecił jego aresztowanie. Jednakże Zan jako sekretarz wizytatora szkół powiatowych znajdował sią na Białej Rusi; czekano tedy na jego powrót na wszystkich rogatkach miasta, aż go w istocie w końcu przytrzymano. Tym wszakże razem uwięzienie Zana trwało niedługo. Postawiono mu bowiem tylko 4 pytania, na które Zan odpowiedział tak przezornie, że wszystkie późniejsze jego własne i kolegów zeznania z temi odpowiedziami w zupełnej pozostawały zgodzie.

Tymczasem doszło do wiadomości Nowosilcowa, że co wtorek zbiera się grono akademików pod pozorem wzajemnego odczytywania prób poetycznych i że w tych zebraniach bierze także udział Jankowski, którego list, już dawniej w papierach Massalskiego znaleziony, obudził w nim pewne podejrzenia.

W skutek tego polecił aresztować Jankowskiego. Gdy zaś ten za cudzym paszportem wyjechał był do Warszawy, zrobiono tymczasem tylko rewizją w jego mieszkaniu, gdzie znaleziono listę członków jakiegoś naukowego związku w gimnazjum w Świsłoczy, pochodzącą jeszcze z czasów, gdy Jankowski był uczniem tamtejszym. — Lista owa dała powód do śledtwa w Świsłoczy i do nowych aresztowań. Niebawem (2 września) zdołano pochwycić i samego Jankowskiego. Młodzieniec ten, który oddawna znany był z lekkomyślnego charakteru i dlatego nigdy wielkiego wzięcia nie miał w gronie kolegów, teraz zapewne w nadziei uzyskania łagodniejszego dla siebie wyroku, odkrył przed komisją śledczą istnienie towarzystwa Filaretów i wymienił nawet wielu z tych, którzy byli jego członkami.

W skutek tej nikczemnej zdrady w nocy 23 października uwięziono natychmiast Tomasza Zana i jego braci, Adama Mickiewicza, Józefa Kowalewskiego i wielu innych. Liczba aresztowanych doszła do 70-ciu, tak, że z powodu braku miejsca w zwyczajnem więzieniu kilka klasztorów zamieniono wówczas na więzienia.

Zana, jako najniebezpieczniejszego [2]) zamknięto za miastem, w więzieniu przeznaczonem dla zbrodniarzy i według świadectw

[1]) Sprawcą tej awantury miał być Edward Puljanowski, akademik rodem z powiatu słuckiego.

[1]) Dosłużył się później stopnia oficera.

[2]) Dziady III. część:

Ale pytaj Tomasza, patryarchę biedy:
Największy szczupak, on też pierwszy wpadł do matni.

najwiarogodniejszych obchodzono się z nim prawdziwie po barbarzyńsku. Mickiewicza wraz z wieloma innymi zamknięto w klasztorze Bazyljanów, u Bernardynów i Dominikanów a według Lelewela nawet jeszcze w 5ciu innych klasztorach więziono Filaretów, których teraz za wskazówką Jankowskiego nieraz z odległych stron, od łoża chorego ojca, matki lub żony odrywano.

Trwoga ogarnęła wszystkich a położenie w jakiem się wtedy cała Litwa znajdowała, kreśli zupełnie wiernie III. część Dziadów, gdzie między innemi mówi Żegota:

Widać było kibitki latające czwałem
I co noc nas przerażał poczty dźwięk złowrogi.
Nieraz gdyśmy do stołu wieczorem zasiedli,
I ktoś żartem uderzył w szklankę noża trzonkiem,
Drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli,
Myśląc, że już zajeżdża feldjegier ze dzwonkiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

ROK 1827.

Styczeń. Damy nasze chcąc złożyć powinszowanie Nowego Roku księżnie Łowickiej, pytały się o to wprzódy generała Kurutę; otrzymały przychylną odpowiedź z oznaczeniem zebrania się w wigilją dnia tego o godzinie 8 wieczorem w Belwederze. Gdy się zgromadziły, wszedł W. Ks. z ks. Łowicką, a po pół godzinnem zabawieniu, oddalił się wraz z księżną. W sam zaś dzień Nowego Roku o godzinie 12, urzędnicy składali swe życzenia, lecz w małej liczbie, gdyż wezwani byli tylko ci, którzy 1824 r. byli przedstawieni, i którzy zasiadali w tym roku w radzie admin. Co za powód do tego obostrzenia, nie wiadomo.

Dnia 2 W. Ks. z ks. Łowicką nawiedzili arcybiskupa, księżnę Zajączkową, żonę prezesa rady admin., wdzinę Potocką i panią Zamojską. Ostatnia będąc niezdrowa, nie przyjęła dostojnych nawiedzin.

Ciągle głoszą o przybyciu cesarza na wiosnę i o wielkim zjeździe. Już nawet przeznaczają, gdzie kto ma mieszkać, i tak: cesarz z cesarzową w zamku, cesarzowa matka w Łazienkach, W. Ks. Michał w pałacu Brylowskim, król pruski w pałacu Namiestników.

Od dni kilku W. Ks. w nadzwyczaj złym jest humorze i to było powodem, iż dnia 16 na paradzie kazał aresztować jener. dyw. Stan. Potockiego i Izydora Krasińskiego.

Dnia 7 obrany został prezesem Tow. P. N. Niemcewicz; miał za sobą głosów 16, inni zaś kandydaci: Plater Lud., radca stanu 2, biskup Prażmowski i Skorochód Majewski, regent archiwów Król. Czekamy teraz z niecierpliwością posiedzenia publ. lecz szczerze mówiąc dla dobra i obudzenia Towarzystwa z letargu, w jakim od lat kilku zostaje, życzyćby należało na przewodnika człowieka młodszego, sprężystszego w czynnościach i swoim przykładem mogącego zachęcić do działania. Kochany zaś nasz Niemcewicz przy podeszłym wieku, od roku jest słaby i z domu prawie nie oddala się.

Prezes rady admin. cierpi mocną chiragrę, która mu odjęła wszelką władzę w ręku. Z tego powodu nie jest w stanie podpisać się; na reskryptach przeto przykładają w jego obecności wyrobiony z metalu naśladowany podpis jego ręki.

W tych dniach wywieziono ztąd kilku obywateli wołyńskich do Żytomierza, aby tam im karę wymierzono. Nie wiemy z pewnością, którzy to są, słychać, że między nimi jest i ks. Ant. Jabłonowski.

Dnia 12 w wigilją Nowego Roku ruskiego, uwolniono 9 więzionych za zdania polit., oto ich nazwiska: Pociej, Kulczycki, Buczyński, Gruszecki, Ciechoński, Ciszewski, Poniatowski, Bykowski, ci wszyscy są z Wołynia i Litwy, Kożuchowski zaś bibliotekarz rady stanu. Gdy stawieni byli w pałacu brylowskim, rzekł do nich W. Ks. po polsku: Mości panowie, pokutowaliście za wasze błędy i niedorzeczności; przez wasze nierozsądne postępowanie naraziliście na siebie rząd, a co większa i na kraj cały mogliście ściągnąć nieszczęście. Niechto będzie dla was nauką itd. Poczem rzekł: nie wiem czy się dobrze wytłómaczyłem, więc powtórzę to samo po francuzku. Skończywszy zapytał: czy nie mają go o co prosić? Tu Gruszecki, (były porucznik w gwardji artyl. pol.) w imieniu kolegów nieszczęścia złożył powinszowanie N. Roku. Roześmiawszy się W. Ks. rzekł do majora placu Aksamitowskiego: wydać tym panom paszporta i żeby za dwa dni wyjechali a obróciwszy się do Kożuchowskiego dodał: et vous, allez et travaillez.

Podług wydrukowanej listy imiennej, liczy Uniwersytet na ten rok 604 uczniów. Prelekcje Osińskiego literatury polskiej porównawczej, są nader uczęszczane, tak, że obszerna sala objąć słuchaczów wszelkiego stanu i wieku nie może. Ujrzysz tam damy, wojskowych różnego stopnia, uczonych, między nimi Niemcewicz, Koźmian, Morawski itd. Rywalizuje z nim Brodziński, wykładający także literaturę ojczystą, lecz zaledwo ma połowę tyle słuchaczów. Pierwszy z nich klassyk, drugi zagorzały romantyk.

Dnia 15 żyć przestała siostra rodzona naszego Niemcewicza, lat siedem od niego starsza. Była tu mniszką w klasztorze Wizytek. Niemcewicz zaś, jakem z ust jego słyszał, kończy w przyszłym miesiącu 69 lat.

Szpiegi fałszywie denuncjujący, surowo powinni być karani; czy tak jest, nie wiem. Temi dniami powołano do ratusza sześciu młodych ludzi. Oświadcza im vice-prezydent Lubowidzki, jakoby dnia wczorajszego na billarze śpiewali pieśni wymierzone przeciw religji i rządowi. Napróżno zaklinali się, iż tego nie czynili, poczem stawieni zostali w Belwederze. Strofował ich W. Ks. i kazał sobie powtarzać ich piosnki, na co oni również odpowiedzieli, że tego nie czynili i chyba pomyłka jakowa zaszła. Po sześciu dniach aresztu, wypuszczeni zostali. Przez ten czas mieli wszelkie wygody, usługę, dobry stół i po 4 złp. dyety.

Minister skarbu książe Lubecki ma taką przewagę w rządzie, iż można wyrzec, że jest u nas panujący; on bowiem na radzie admin. co chce to zrobi i na swojem postawi. Inni ministrowie, widocznie mu ulegają i jego względów potrzebują. Nie można zarzucić, żeby wspomniony minister nie był nader czynny. Oby tylko w swoich zamiarach, przedsięwzięciach i wszelkich zakładach nie poszwankował, gdyż wtedy kraj cały poniósłby niezliczone straty. W wielu rzeczach działa z niewielką przezornością; między innemi, że tu powiem o sprowadzeniu 25 Anglików do stawiania machin w górnictwie. Ci cudzoziemcy przybyli od kilku tygodni, rząd najmuje im pomieszkanie i płaci każdemu po dukacie na dzień. Tracą czas napróżno i udać się na miejsce nie mogą z powodu niepoczynionych jeszcze przygotowań. Sprowadzono także kilkunastu Niemców do wypalania węgli, do pieców hutniczych; ci przybyli z całemi rodzinami, nie zastali żadnych

względem siebie rozporządzeń, z wielkim kłopotem pomieszczono ich po włościanach w okolicy Suchedniowa, płacą im dyety, a niewiadomo jak rychło wezmą się do pracy, gdyż w dyrekcji górniczej wielki teraz jest chaos z powodu odkrytych za późno niestety kradzieży i różnych przeniewierstw między tamecznymi urzędnikami.

Dnia 27 wyjechał do Petersburga Mohrenheim z rapportem ukończonych prac komisji śledczej. Z powodu nieszczęśliwych tych wypadków politycznych, rząd w ciągu roku wielkie poniósł wydatki. Co to kosztowało utrzymanie tylu uwięzionych, dozór nad nimi itd. Żony p. p. Załuskiego i Grzymały referendarzów, pobierają ciągle pensje swych mężów; bibliotekarz rady stanu, Kozuchowski, po uwolnieniu otrzymał całą pensją za jedenaście miesięcy pozbawionej wolności.

Tenże dzień 27, był dla Warszawy dniem feralnym. Wymienię tu kilka smutnych zdarzeń: policja z wyższego polecenia zażądała od Tow. Przyj. Nauk, wydania dwóch ostatnich tomów dzieł Staszica pod tytułem Ludzkoród. Nieboszczyk wydrukowawszy 130 egzemplarzy w wielkim formacie wszystkich pism swoich, złożył z tego 110 egzempl. w bibliotece. Po jego zgonie, owego Ludzkoroda kazało Towarzystwo złożyć do lochu, aby ten dziwaczny utwór nikomu nie był znany, a tem samem nie ubliżał pamięci autora. Przed kilku laty zdarzyło mi się oglądać ten potwór literatury, pisany wierszem nowego układu autora, wyrażenia najdziwaczniejsze, myśli zawikłane, słowem, że dwóch kart nie sposób było czytać ciągle. Jak słyszałem miało to być dzieło filozoficzne i nie bez zalet, szkoda tylko, że nieszczęśliwym rymem pisane. Autor mawiał: za sto lat dopiero praca moja czytana i rozumiana będzie. Doniesiono W. Ks., że dzieło bezbożne i przeciwne rządowi posiada i ukrywa Towarzystwo. Zabrano i opieczętowano tedy wszystkie jego egzemplarze i nie wiemy jakie będzie jego przeznaczenie [1]).—Dnia tegoż służąca kamerdynera W. Ks. zabiła siekierą śpiącą swą panią. — Dto. zaledwie lat 20 liczący, oficer artyl. konnej gwardji ros. Ignatiew, syn starego kapitana z biura W. Ks. zastrzelił się, żegnając sie z swą kochanką. Ojciec jego jak najsurowiej mu był zakazał widywac się z tą panną ze szkoły dramatycznej i powiedział, że dnia tego będzie u niej i to samo powtórzy. Młodzieniec oświadcza swej lubej wolę ojca i mowi: że gdy jej widywać nie będzie, życie mu stanie się niemiłem. Wtem pistolet w gębę włożywszy, wystrzelił. Co za okropna chwila, gdy jeszcze słabe okazuje znaki życia, wchodzi ojciec i pada pozbawiony zmysłów na konającego syna. Kilka razy mdlał nieszczęsny, rozpacz matki jeszcze większa była; stracili jedynaka, którego uwielbiali i który ich był szczęściem, rzec mogę, znając ten dom dobrze. Dla niego starannie zbierali majątek, dziś bezdzietni zostali. — Dnia tego jadąca ze ślubu panna młoda, dyszlem od sanek przebitą została. — A conto dnia tego mnóstwo tragicznych wypadków tworzono i za rzetelne opowiadano. Przepomniałem o jednym jeszcze prawdziwie wesołosmutnym opowiedzieć: Na wieczorze tańcującym u starościny Mokronowskiej, gdy się już wszyscy rozjechali, młody podpuł. gwardji szaserów Banczakiewicz uprosił ostatniego poloneza; z tego zrobił walca, potem mazurka; wtem nagle chwieje się i pada bez duszy. Napróżny był wszelki ratunek.

Luty. Pisma perjodyczne. Na ten rok wychodzi tu: 1. Dziennik warszawski pod redakcją Ordyńca, bibliotekarza ordynata Zamojskiego, raz na miesiąc. 2. Biblioteka polska, redaktor Fr. Salezy Dmochowski, podług prospektu, wychodziła 2 razy na miesiąc, lecz od niejakiego czasu, okazuje się jeden numer co dwa miesiące. 3. Chwila spoczynku, trzy razy na miesiąc, wydawcami są podoficerowie ze szkoły podchor. pieszych, między nimi: Zaba, Godebski, i t. d. i były akademik Meyzer. 4. Dziennik podróży lądowych i morskich, raz na miesiąc, istnieje od początku b. m. wydawcy są redaktorowie Gazety Pol. 5. Najpożyteczniejsze, najregularniejsze i najlepsze w swoim rodzaju pismo jest: Rozrywki dla dzieci, raz na miesiąc; wydaje je panna Klementyna Tańska. — Na gazetach nam nie zbywa, lubo dla ostrej cenzury, mało wiemy co się dzieje na świecie. Wychodzą jak i lat przeszłych: 1. Gazeta korespondenta warsz. 2. Gazeta Warsz. 3. Kuryer Warsz. 4. Monitor Warsz. i 5. Gazeta polska. Ta ostatnia od 1 grudnia r. z. wychodząca, wiele hałasu narobiła, a nawet i wojnę redaktorską zrodziła, z powodu, iż ogłosiła, że codziennie wychodzić będzie i że za mniejszą opłatą więcej od innych wiadomości, jako to: handlowych, gospodarskich, literackich itd. zawierać będzie. Wydawcy innych gazet dla utrzymania współubiegania, ogłosili natychmiast, że i oni bez podwyższenia ceny codziennie pismo wydawać będą. Kurjer nawet i we środy (w ten tylko dzień nie wychodził) musiał w ruchu zostać. Czy to nowość, czyli że w istocie więcej jest zajmujące pismo, słowem, że wielką ma wziętość. Wydawcami są: Tomasz Gębka, Ksawery Bronikowski, Michał Dębiński i inni.

Postanowieniem cesarskiem, które jednak ogłoszonem nie było, zawiązany został od początku stycznia komitet trudniący się reformą edukacji w kraju. Prezyduje w nim zacny Nowosilcow i u niego się narady odbywają. Współpracownikami są: min. ośw. Grabowski (którego powszechnie zowią ministrem ciemnoty; nie można mu odmówić wiele nauki i wiadomości wszelkiego rodzaju, jest bardzo oczytany, ale brakuje mu taktu w czynnościach tak ważnych a co największa, nie ma swego zdania, polega na cudzem, każdy go dekoncertuje i niweczy najlepsze może jego chęci i zamiary i dlatego to wszystko jest w rozprężeniu, a gałęź ta tyle ważna, wiele bolesnych ciosow doznaje, widzi to publiczność i dlatego sarka) biskup płocki Prażmowski, radca st. Szaniawski, owa prawica Nowosilcowa, (powszechnie mniemają, iż reforma ta planu nauk jego jest płodem) jenerałowie: Hauke i Rautenstrauch; trzyma zaś pióro Wm. Niepokojczycki.

W tych dniach z polecenia W. Ks. kazano w przeciągu doby opuścić miasto dwom duchownym, wzbroniono nawet pobytu w kraju, przeznaczając im Kraków na mieszkanie. Cały ich występek jest, iż byli ex-Jezuici, przed kilku laty z Rossyi usunięci. Jeden z nich ks. Zółtowski był rektorem szkół w Hrubieszowie, od dwóch zaś lat przełożonym głównego seminarjum tutejszego. Drugi staruszek schorzały mieszkał przy szpitalu Marcinkanek. Może przejęta jaka korespondencja, lub też co podobnego było powodem, iż tak nagle kazano im się wydalić.

Dnia 11 W. Ks. wyjechał do Petersburga.

Zapusty lubo są długie i już się zbliżają do końca, jednakowoż po wielkich domach niema żadnych zabaw tańcujących. W. Ks. kilkakrotnie dał się słyszeć: czemu się nie bawią? że lubi wesołość itd. a Warszawa tak głucha. Z tem samem i księżna Łowicka się odzywała do naszych dam; jedna z nich odpowiedziała: trudno myśleć o zabawach, kiedy niema prawie domu, któryby nie był dotknięty smutnemi ówczasowemi wypadkami, nie ubolewał nad losem krewnego, lub przyjaciela. Jednakże wojskowi tak polscy jak i ross. często dawają bale, a średnia klasa i mieszczanie zapamiętale, że tak rzekę, hulają.

---

[1]) Mowa tu o dziale Staszica: Ród ludzki, będącem dziś bibliograficzną rzadkością. K. B.

W tych dniach młody Aleks. Walewski dawał wielkie i wystawne śniadanie na wiejskiej kawie. Pani Zielonkowa [1]) była gospodynią i zaprosiła tout le beau monde. Na tę przekąskę wydał sto kilkadziesiąt dukatów — wprawdzie jest to dla niego bagatelką, ale cui bono? — 18 letni ten młodzieniec jest synem Napoleona — trzeci rok jak tu mieszka, zostawiony zupełnie sam sobie, gdyż jego opiekun kasztelan Rembieliński bynajmniej się nim nie zajmuje. Na pochwałę jego powiedzieć można, iż wśród dostatków, otoczony gronem młodzieży, mający wziętość i łaskę u dam naszych, mimo tego wszystkiego dobrze i skromnie się prowadzi, jest pięknie ułożony, przyjemny w posiedzeniu i dowcipny. Oprócz dóbr po matce odziedziczonych, co miesiąc przysyłają mu 6000 złp. jako procent od sumy przez Napoleona na banku paryskim umieszczonej [2]).

Dnia 25 po kilkodniowej słabości zakończyła życie z ks. Sanguszków pierwszego ślubu Marja Mokronowska, drugiego Zielonkowa, żyła lat 58. Za życia pierwszego męża i w czasie swego wdowieństwa, dom jej był gasnącej gościnności i uprzejmości starodawnej polskiej przybytkiem. Zawsze otwarty, zawsze napełniony, słowem jedyny w całej Warszawie. — Trzy lat temu jak poślubiła pułkownika gwardji konnej Zielonkę i uczyniła mu darowiznę 500.000 złp. Zgon jej zasmucił licznych przyjaciół.

Marzec. Dnia 4 około północy, wrócił W. Ks. z Petersbuga i nazajutrz kazał zgromadzić się radzie administracyjnej, niewiadomo w jakim przedmiocie, gdyż nie był to dzień sessjonalny.

Dnia 6 prawie w mgnieniu oka most zerwany został — za późno udano się do W. Ks. z zapytaniem o pozwolenie rozbierania mostu, i zaledwie ściągnięto dwie łyżwy, gdy woda inne uniosła.

Po tęgich mrozach nastały raptem dnie ciepłe, tak dalece, iż dnia 9 było ciepła stopni 10.

Podług wszelkiego podobieństwa, cesarza nie będziemy prędzej oglądać jak na jesień. Nadeszły dymisje z Petersburga dla uwięzionych referendarzy, Załuskiego i Grzymały.

Niech się jaka bagatelna rzecz zrobi, zaraz przybiera postać wielkiej wagi. I tak: w tych dniach uczeń ze szkół pijarskich, napisał paszkwil na profesorów, rozrzucił go po korytarzach, a nawet przylepił go do drzwi kościelnych. Uraził do żywego księży, ogłaszając ich miłostki, pijatykę itd. Długie nastały śledztwa, wywody słowne, gdyż sprawca paszkwilu pokompromitował i innych uczniów, a nawet i ze szkoły przygotowawczej do instytutu politechnicznego. — Lecz zdaje się, iż wszystko jest już załatwione, ponieważ stawiony delinkwent przed W. Ks., na zapytanie cóżeś zasłużył za to i jak masz być ukarany? gdy odpowiedział, iż sam na siebie nie może kary nałożyć, — zbliżył się do niego W. Ks. i dał mu szczutka w nos, poczem kazał mu odejść, rektorowi zaś przesłał napomnienie, aby następnie w takich razach protokółów nie spisywał, ale winnego podług przepisów ukarał.

Z polecenia Naj. Pana, rada admin. zajęta jest wypracowaniem procedury karnej na uwięzionych naszych. Dla spieszniejszego onej wygotowania, wezwano radców stanu: Wyczechowskiego i Woźnickiego. Utrzymują, iż cesarz dlatego spóźnił swój przyjazd i dopiero po zapadnięciu wyroku i egzekucji onego przybędzie. (C. d. n)

[1]) Pani ta, słynąca staropolską gościnnością, siostrą jest ks. Eusta. Sanguszki; owdowiawszy po gener. Stanisławie Mokronowskim, zmarłym 1821 r., poślubiła wkrótce potem Benedykta Zielonkę podpułk. gwardji szaserów. Oboje stali się pośmiewiskiem publiczności; on młodym jest, dorodnym i przystojnym mężczyzną, ona zaś: stara, brzydka, z potężnym nosem i dość dużym garbem babina. Za życia pierwszego męża, prawiono o jej romansie z Zielonką, lecz inni utrzymywali, iż tenże pali cholewki do jej jedynej córki, równie jak i matka ułomnej, na co złośliwie mawiał Niemcewicz, że trzeba będzie dyspensę otrzymać. Dla niepowabnej, ale posażnej panny, postarano się o męża — został nim Herman Potocki, młodziuchny, ale goły jak święty turecki, syn Jana i księżniczki Czartoryskiej linji Koreckiej.

[2]) Mowa tu o Wolewskim, późniejszym ministrze drugiego cesarstwa.

K. B.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Chociszewski Józef. Piśmiennictwo polskie w życiorysach naszych znakomitszych pisarzy, przedstawione dla ludu polskiego i młodzieży. Wyd. drugie pomnożone. Poznań 1882 in 8-vo str. 338. Cena 90 c.

Pan Chociszewski miał bardzo dobrą myśl, wydając popularną historję literatury, ale powinien był nie ufać swoim siłom, lecz polecić ułożenie książki człowiekowi fachowemu. Nie wielka wprawdzie to praca, niewymagająca głębszych studjów, ale potrzebująca bądź co bądź pewnej znajomości rzeczy i daru kompilowania, nie mówiąc już o koniecznych zdolnościach pisarskich. Pan Chociszewski na nieszczęście tego wszystkiego nie posiada, a widocznie nie probuje nawet poradzić się kompetentnych, którzy przynajmniej daliby mu niejakie wskazówki: jak książkę ułożyć, gdzie czego szukać, o czem zamilczeć a co podnieść się godzi.

Tego rodzaju historja literatury powinna zaznajamiać li tylko z najwybitniejszymi jej przedstawicielami i to nie zapomocą kilku dat biblio-i biograficznych, ale przez popularny wykład o ich życiu i pismach, wykład objaśniony wyjątkami z dzieł, starannie wybranemi i zastosowanemi do pojęcia czytelników, dla których książka jest przeznaczona. Co zaś im po takiej np. gołosłownej wiadomości jak: „Bzowski okrył się wielką sławą jako pisarz historji kościelnej w Rzymie,“ lub: „Jan Herburt zasłynął jako prawnik,“ „Stanisław Orzechowski pisał najwięcej po łacinie — głośny z burzliwego życia.“ Czyż nie lepiej pominąć wszelkich Bzowskich, Opeciów, Janów z Kosyczek, Heidensteinów, Miechowitów, Knapskich itd. a dać dokładny np. obraz pism Kochanowskiego, zaznajomić z Pieśniami, Psałterzem i Trenami? Pan Ch. tego nie rozumiał: dał kilkaset nazwisk i drugie tyle dat, opatrzył to wszystko wykrzyknikami zachwytu, wątpliwej często wartości informacjami i bardzo niewyrobionym poglądem krytycznym. Kilka przykładów tego przytoczymy.

„Kochanowski urodził się w wiosce niedaleko Zwolenia, Radomia, Lublina i Puław.“ Zważywszy, że Radom od Lublina leży o mil 15 — trudno nie podziwiać dokładnej informacji danej przez autora.

„Pisał Długosz *wprawdzie* po łacinie, *ale* w czysto polskim duchu.“ Co znaczy owo *wprawdzie* i *ale* trudno doprawdy pojąć.

„Piśmiennictwo polskie można porównać ze słońcem.“ Można, można— ale co to znaczy?

„Długosz w owych czasach jaśnieje jako gwiazda. Cześć jego pamięci!“ Nekrolog nieco spóźniony.

„Klonowicz *rznął* złote słowa prawdy.“ Dobitne.

Staszyc pisał „wyborową polszczyzną“ (sic).

„Niemcewicz był niejako wcielonym narodem, *Człowiekiem-Polską*, jak go nazwał jeden z pisarzy.“

„Największą zasługą Witwickiego jest ułożenie Ołtarzyka polskiego, książki do nabożeństwa.“

„Kołłątaj góruje nad wszystkimi Polakami swego czasu, jak orzeł nad zwyczajnem ptastwem.“ NB. to szczytne porównanie nie jest nawet oryginalnem autora, lecz przepisanem z Wójcickiego.

O Opalińskim 3 wiersze, to jest dwa razy mniej niż o pani Agnieszce Baranowskiej a 4 razy mniej niż o p. Radońskiej.

W ustępie o Estreicherze powołał się autor na powagę p. Jelinka, podając w oryginale i po polsku zdanie tego młodego czeskiego pisarza o naszym bibliografie.

„Żelazna była dola Klonowicza.“ Tuż prawie przy tym frazesie odnośnik do przypisku o księdzu Siwickim „dobroczyńcy“ autora, który szerzył trzeźwość itd. Przypisek ten z tej racji, że ks. Siwicki zajmował się wraz z innymi postawieniem pomnika Klonowiczowi w Sulmierzycach.

„Pragnął Mickiewicz, aby i mniej oświeceni pisma jego czytali. Zaiste! rozczulające to życzenie.“ Zaiste! rozczulające rozczulenie.

Oto różnica według autora między prozą i poezją: „Praca jestto zwyczajna mowa, jaką mówimy, poezja odznacza się pięknemi wyrażeniami.“

„Pisarze piszący prozą nazywają się *prozaistami* (tak).“

„Pisarz nazywa się także literatem, twórcą, *utwórcą* (!).“

Zdaje się, że tych trochę przykładów stanowczo każe zaliczać p. Ch. do *utwórców* bardzo słabych i to do *prozaistów*, gdyż praca jego „nie odznacza się pięknemi wyrażeniami.“

Dodawszy do tego, że p. Ch. w krytycznych swych poglądach powołuje się na powagę Wójcickiego, p. Radońskiej, a nawet jakiegoś księdza L. i „pewnego krytyka,“ że kto się urodził w Wielkopolsce ma już u niego prawo do 3 razy większej niż inni wzmianki, że całą armję kobiet piszących zacząwszy od Hofmanowej a skończywszy na pani Pufko (?) razem na 20 stronnicach zgromadził, że nie zapomniał o koniu Skargi, kitajce Reja i policzku Karpińskiego, że pisze o pismach „prozowych“ Krasickiego, Trembeckiemu przeznacza siedem wierszy a Wilkońskiej trzy stronnice, „Dziadom“ ani wiersza nie poświęca a ma ich 15 dla „Powrotu Taty“ że ciągle moralizuje bez potrzeby i bawi się w propagandę sławianofilstwa, że wreszcie miesza z sobą pisarzy bez względu na ich wartość i znaczenie—możemy zaręczyć autorowi, że dziełko jego nie będzie cegiełką w przybytku oświaty narodowej,“ jak tego życzy sobie w przedmowie. B.

Estreicher: Bibliografia XV—XVIII w. Tom VIII. zeszyt I. i II. in 8-vo maj. str. XLIV. Kraków 1882.

W wieku XV. mamy znanych druków przeszło 200, w wieku XVI. przeszło 7520, w wieku XVII. przeszło 21.000, w wieku XVIII. przeszło 44.000 razem do końca XVIII. w. 73.000. Liczba ta bezwątpienia powiększać się będzie, gdyż niejedno dzieło zapewne nie wpadło w ręce bibliografa.

Ogrom ten świadczy o naszem wybitnem stanowisku w dziejach cywilizacji. Bibliografja bowiem będąc statystyką literatury i nauki daje obraz rozwoju umysłowego narodu. Im więcej naród myśli i uczy się, tem bogatszą jest jego bibliografja.

W tym ogromie 73.000 druków znajduje się 524 druków ruskich, wydanych na polskiej ziemi dla naszych rusinów, a które przywłaszcza sobie bibliografja rossyjska. Autorami ich byli ludzie niemający nic wspólnego z tak zwaną Wielko-Rossją. Charakterystycznem jest, że znaczną część ruskich dzieł pisali ciż sami, co jednocześnie pisali i drukowali po polsku, jak Ostrogski, Smotrzycki, Baranowicz, Galatowski itd. Dodajmy od siebie jeszcze jeden rys charakterystyczny: pisarze nawet dyzunicy dedykujący swe pisma religijne carom Iwanom, Aleksiejom, drukowali takowe wraz z dedykacją po polsku.

Druków polsko-ruskich dostarczyło 28 miejscowości. Wszystkie te druki z drukarniami zabierają dla siebie pisarze rossyjscy, wspierani nieznajomością bibliografów niemieckich, dla których Ruś a Rossja stanowią jedność. W dalszym zaborze każda kirylica, choćby drukowana w Rzymie lub Wenecji, dla Horwatów lub Serbów, przez to samo, że jest kirylicą, wchodzi do bibliografji rossyjskiej.

Przy takiej miłości do cudzego zarobku duchowego wyliczają bibliografowie rossyjscy 1593 druków od r. 1491 do 1731. Z tego należy więc odjąć druki staro-sławiańskie, polsko-rusińskie, czyli litewsko-ruskie, biało ruskie i sławian południowych. Dla samych sławian południowych dostarczyło 21 miejscowości 140 druków, wliczonych w ową liczbę 1593.

Po odebraniu swojej własności przez Polaków, Rusinów i Słowian południowych, liczba druków kirylicą starosłowiańskich i drukowanych w carstwie lub dla carstwa, właściwie rossyjskich, do r. 1730 wynosi 866. Drukowano je w jedenastu miejscowościach, z których 5 znajdowało się w obrębie państwa moskiewskiego. W tymże samym czasie bibliografja polska liczy około 45 000 druków.

Czy jednak podana cyfra druków carstwa do r. 1731 może być uważana za podwalinę literatury rossyjskiej, kiedy zaledwie czwarta część pisana jest właściwym wielko-rossyjskim językiem i to jeszcze tak literacko niewyrobionym?

Literatura rossyjska rozpoczyna się właściwe z panowaniem Piotra Wielkiego, to jest od czasów zastosowania graždanki do użytku literackiego [1]). Cyrylica bowiem służyła prawie wyłącznie cerkwi: drukowano nią same książki liturgiczne i to z małym wyjątkiem w języku rytuału cerkiewnego tj. starosławiańskim. Azbuki, nauki musztry, kalendarze — oto prawie wszystko, co stanowi literaturę rossyjską do czasów Piotra W.

Nie mogła zresztą ta literatura ani istnieć, ani rozwijać się, gdyż nie było dla niej materjału umysłowego. Bez szkół, bez znajomości łaciny otwierającej wrota nauki, bez drukarń wreszcie, trudno było myśleć o literaturze.

Ciekawym zaiste jest stosunek między drukarniami w Polsce i Rossji do końca XVIII. w. Bibliograf Sacharow wylicza do r. 1800 drukarń słowiańsko-cyrylickich 76 w 40 miastach. Naturalnie przyjętym zwyczajem wlicza w to drukarnie polsko-ruskie i południowo-słowiańskie Dodawszy do tego drukarnie graždańskie — otrzymamy około stu drukarń, z których zaledwie jedna trzecia ma prawo do nazwy rossyjskich. W tymże samym czasie Polska miała przeszło 500 drukarń na swojej własnej ziemi, nie licząc ogromu drukarń zagranicznych, które już to były założone przez Polaków, już to oddawały usługi polskim uczonym i pisarzom. Nawet odjąwszy drukarnie niemieckie w Prusach Polskich i druki łacińsko-niemieckie na Szląsku, jeszcze i tak do liczby 500 drukarni czysto polskich dojdziemy.

Jaki zaś z tych danych rezultat? Oto przedewszystkiem przekonanie, że kiedy Polska sztandar cywilizacji wysoko trzymała, kiedy jej nauka i literatura kwitnęła i wpływ na wschodnie kraje Europy wywierała — wówczas ziemie składające dziś jądro państwa rossyjskiego pogrążone były w ciemnocie. Szkoły polskie rozlewały światło na Małorusi, a przez nią szło ono dalej i przygotowywało tak zwaną Wielko-Rossję do przyjęcia cywilizacji. Prawda to widoczna, nigdy poprzednio niezaprzeczana. Dziś, kiedy kłamstwo rozkiełznane nie umie utrzymać się na wodzy i wojuje fałszami, potrzeba prawdy tej bronić, wykazywać ją nie frazesem, lecz datami, cyframi. Na ich podstawie śmiało możemy powiedzieć z autorem: „Kto tak żyje, tak dziś jeszcze rozrasta się w ciasnocie swej, ciemnicy, skrępowaniu, zakneblowaniu, ten nie umrze.“

Taką jest w krótkości treść leżącego przed nami zeszytu bibliografji Estreichera. Naturalnie podaliśmy tylko wyniki pracy uczonego biliografa, najsłodsze, że tak powiemy, owoce jego trudów, poparte w tekście całemi szeregami faktów, całemi spisami bibliograficznemi dzieł drukowanych u nas kirylicą, druków kirylicą słowian południowych, druków starosłowiańskich rossyjskich, spisem drukarń naszych, rossyjskich i słowiańskich.

Nie potrzeba zdaje się ,dowodzić, jak żmudną i ciężką pracą doszedł Estreicher do tych rezultatów. Sama praca tu jednak wystarczyć nie mogła, bo ona zwykła gromadzić jedynie surowy materjał. Tylko znajomość rzeczy poparta darem spostrzegawczym, zdolnością grupowania, kombinowania i wnioskowania, może z pracowicie zebranego materjału dalsze wyciągnąć korzyści. Cyfry dostępne są każdemu kto ma szczerą chęć dojścia ko nich, ale zrozumienie mowy cyfr dostępne jest tylko ludziom posiadającym wymienione warunki. Czy je Estreicher posiada? — sam czytelnik po tem, cośmy powiedzieli, łatwo osądzi. K. B.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Opera polska ze Lwowa.

Pierwsze sprawozdanie nasze skończyliśmy życzeniem, by szanowna dyrekcja opery lwowskiej uraczyła nas jakim polskim utworem i wymieniliśmy „Paziów królowej Marysieńki“ Dunieckiego, „Flisa“ i „Verbum nobile“ opery Moniuszki [1]).

Szanowna dyrekcja opery lwowskiej uraczyła nas w istocie czemś niespodziewanem, gdyż wśród wesołych, lekkich operetek, ukazała się jak tęcza urocza „Halka“ Moniuszki. Któż jej nie zna? zapewne niema nikogo, któryby choć przynajmniej aryi „Gdyby rannem słonkiem“ nie umiał wyśpiewać, a są i tacy którzy prawie całą operę powtórzyćby mogli, a jednak teatr był przepełniony w obu dniach przedstawienia a nikt z obecnych tego nie żałował. Halkę przedstawiono bardzo dobrze, widać, iż wszyscy udział biorący artyści powodzenie tego arcydzieła wzięli sobie do serca, bo partje swe opracowali sumiennie i z miłością dla sztuki. Pani Skalska, jako Halka odniosła tu nietylko w śpiewie lecz i w grze tryumf niepospolity; dopiero w Halce okazał się cały zasób jej rozległego głosu, a gra nic prawie nie zostawiła do życzenia.

---

1) Sacharow i Karatajew przyjmują za datę wprowadzenia graždanki rok 1731, a więc już po śmierci Piotra W. Faktycznie jednak ani graždanka wprowadzona za Piotra, a ustalona po jego śmierci, ani r. 1731 nie stanowią jeszcze początku literatury rossyjskiej. Piotr W. przez wprowadzenie szkół, zakładanie drukarń, przygotował tylko grunt dla literatury. Stworzył ją zaś właściwie Łomonosow (1740). Przyp. sprawozdawcy.

1) Ponieważ wypuszczono w sprawozdaniu wyraz opera po „Flisie“ — przeto tutaj to prostujemy i zaznaczamy, iż tak „Flis“ jak i „Verbum nobile“ są to opery w jednym akcie, operetką zaś Moniuszki jest tylko „Jawnuta“ którą także sielanką tytułują.

Ostatnim razem wspomnieliśmy, iż p. Skalskiej brak jest ruchów w operetce. Owe lekkie sentymentalne operetkowe postacie nie są właściwym polem dla p. Skalskiej; wśród tych wesołych rytmów nieswojsko jej jakoś; lecz w operze całe zasoby jej talentu odkrywają się. To też na obu przedstawieniach w niedzielę i we wtorek byliśmy zupełnie zadowoleni, a gdy i inni artyści swe role dobrze oddali, przedstawienie całe wywołało burzę oklasków. Pan Nowicki był dobry w Januszu i pokazał, że i w operze potrafi wybitne zająć stanowisko. Pan Alma, jako Jontek zrobił co się po nim spodziewaliśmy i śpiewał całą duszą. Pan Guberski odtworzył wiernie postać Stolnika. Pani Bronikowska, jako Zofja zadowoliła nas w zupełności. Dzielnym Dziembą był pan Koncewicz; grał i śpiewał wybornie, i gdyby tylko lepsze były warunki akustyczne i sceniczne toby i głosy śpiewaków lepiej mogły się rozwinąć. Publiczność ocenia to co widzi i słyszy, i sądzi według tego, lecz ten co zna rokład zakulisowy tutejszego teatru, gdzie w ciasnej garderobie przy upale dusić się przychodzi i gdzie głos niema na scenie rezonansu lecz gubi się prawie zupełnie — może ocenić, jaki rezultat byłby w teatrze odpowiadającym wymaganiom. Chóry trzymały się doskonale. Podstawą chóru jest zawsze bas a podstawą basów w lwowskim teatrze jest „ojciec" Salomon, którego silny niski organ zawsze dominuje. Takiego basu twierdzimy śmiało i wielkie opery by się nie powstydziły.

Co się tyczy samej sztuki to zamiast ściślejszego rozbioru „Halki" na który ramy pisma naszego nie pozwalają, sądzę, iż będzie na miejscu zrobić tu paralelę między „Halką" a „Strasznym dworem" i „Verbum" najwięcej znanemi i najpiękniejszemi operami Moniuszki. Wszystkie te trzy opery noszą piętno prawdziwej polskiej muzyki. O ile muzyka w „Halce jest ludową o tyle „Verbum" czysto szlachecki ma charakter. Ssuchając to ostatnie dzieło zdaje nam się rzeczywiście, żeśmy przeniesieni w czasy kontuszów, karabeli i sejmików. Jak „Wolnego strzelca" nie można oderwać od niemieckiej narodowej romantyki, tak również i „Verbum" i „Halkę" niepodobna oddzielić od narodowości polskiej. Jeżeli kto z obcych nie wierzy w muzykę polską — niech posłucha tylko „Verbum" a pozna ją.

Muzyka w „Strasznym dworze" jest także na wskróś polską. Podczas atoli gdy w „Halce" przeważa pierwiastek ludowy, w „Strasznym dworze" góruje element rycersko-szlachecki; są to dwa kwiaty z jednego pnia wyrosłe. „Straszny dwór" pod względem artystycznym przenoszę nad „Halkę", jako Polak jednak czczę więcej Halkę, jako pierwszą naszą polską operę. W „Strasznym dworze" jest prześliczna instrumentacja, bogata i urozmaicona i tem on przewyższa „Halkę." W żadnem dziele Moniuszki niema tyle obfitości harmonij, głębokich moludacji i niezrównanej ekspresji, co w „Strasznym dworze, a całość opery odznacza się bogactwem uroczych i świeżych melodyj.

W Halce są pewne ustępy mające podobieństwo z „Wolnym strzelcem" i rzeczywiście zajmuje u nas Moniuszko miejsce, jakie zajął oddawna w Niemczech Weber. Potęgą genjuszu Webera wyłamała się muzyka w Niemczech z pod wpływu włoszczyzny i nabrała cechy czysto narodowej. Jak w Francji *Auber* pisał arcydzieła dla Francuzów napiętnowane francuzkim dowcipem, jak we Włoszech. *Bellini* wzbogacił naród skarbami melodyj pełnej ognia, tak Moniuszko wlał w swoją muzykę rzewność i smętność bez sentymentalizmu odznaczającą nasz lud. W „Halce" przejął się Moniuszko skargami i cierpieniami ludu.

Przedstawienie „Halki" przekonało nas, iż nietylko operetki mogłyby obecne Towarzystwo przedstawić lecz i niektóre opery, z których Traviata Verdi'ego dałaby się zupełnie obsadzić.

Przedstawienie „Halki" poprzedzały z nowości operetkowych: „Chusteczka koronkowa" (das Spitzentuch der Königin) Straussa, „Córka pani Angot" Lecocqa, „Apajune„ i „Le pompon" (kapelusz bandyty) Lecocqa. „Chusteczka" jest to jedna z mniej udatnych operetek Straussa, wartość jej tak pod względem muzycznym jak i libretta mała; u nas sztuka ta nie miała powodzenia.

Najlepszą z operetek Lecocqa jest „Córka pani Angot:" melodje wesołe, żwawe, cała sztuka pełna nerwy i życia. Libretto dobre. Sztuka ta dawaną już była u nas w Krakowie i zawsze cieszyła się powodzeniem. Piękny śpiew pani Skalskiej w tej operetce zyskał powszechne uznanie.

„Apajune" duch wodny, operetka K. Millöckera należy do słabszych utworów tego rodzaju. Jest tu rozmaitość, są śpiewy, tańce, ale muzyka nie daje nic nowego. Instrumentacja dobra. W akcie pierwszym ballada o Apajunie odśpiewana przez p. Bocskaj (Natalica) i wesołe trio wykonane przez Marku (Skalski), Joza (Koncewicz) i Manille (p. Alma) bardzo się podobały. W akcie drugim wybitniejszym ustępem jest duet ks. Alamina (p. Myszkowski) z Natalicą (p. Bocskaj).

Operetka Lecocqa p. t. „Kapelusz bandyty" (Le pompon) mile była przyjętą. Muzyczka lekka, zgrabna, świeża, pełna nerwy. Libretto posiada wiele dowcipu, jest bardzo zgrabne, choć cokolwiek może drastycznie napisane przez pp. Chivot i Duru. Artyści lwowscy przedstawili operetkę tę wybornie; ale na szczególniejsze wyróżnienie zasługują atoli: p. Skalska, p. Bocskaj i p. Myszkowski. Najpiękniejszą jest partycja pani Skalskiej (Fioretty) kwiaciarki, którą wykonała znakomicie. W barkaroli (akt 3) odśpiewanej nader sympatycznie pokazała p. Skalska dobrą koloraturę. Miluchnym był doktor Picolo (p. Bocskaj) a dzielnym vice-królem p. Myszkowski, który rolę swą z humorem i werwą wykonał. Wszyscy prócz tego występujący artyści dopełnili dobrze całości sztuki. Już to reżyserja jest bardzo staranna, na każdym kroku widać wprawną, rutynowaną rękę, która tak dzielnie całością kieruje ku zadowoleniu zupełnemu publiczności. Podnieść musimy jeszcze w operetce tej duet w akcie pierwszym i finale aktu drugiego. Panna Bocskaj pokazała w tej operetce, iż w rolach męskich jest niezrównaną i pozostanie długo w pamięci Krakowian. P. Skalski (minister Barbarini) p. Waitz i Bronikowska przyczynili się do należytego ensemblu sztuki.

Na brak sympatji ze strony Krakowian, nie mogą się skarżyć lwowscy artyści — doznają jej co dzień, prawie po każdym akcie. To samo tyczy się i dyrektora Miłaszewskiego, którego w „Halce" kilka razy wywoływano i za pokazaniem się w polonezie hucznie witano. Warto zanotować, że jemu to Lwów zawdzięcza pierwsze przedstawienie „Halki" 18 Marca 1868 r.

Na zakończenie tego sprawozdania wnoszę jeszcze skromną prośbę do dyrekcji opery, by nas jeszcze obdarzyła „Strasznym dworem" lub „Verbum" Moniuszki, czem zasłuży sobie na serdeczne wspomnienie u Krakowian.

Maurycy Sieber.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Literackie i naukowe.

— P. *Kniaziołucki* znalazł w archiwum krakowskiem ciekawe materjały do życiorysu Reja.

— „La vida es sueno" (życie snem), dramat *Kalderona*, osnuty na tle polskiem ukazał się w „Przewodniku naukowym" w tłomaczeniu *Józefa Szujskiego.*

— Redakcja „Prawdy" wydaje na cześć *Jeża* dzieło zbiorowe p. t. Ognisko, z którego dochód przeznaczony jest dla jubilata.

— Gazeta Krakowska drukowała w fejletonie *„Salusię,"* Czas drukuje *„Andreę,"* Gazeta Lwowska *„Anne,"* Gazeta Narodowa pamiętniki *Mańkowskiej*, Reforma powieść panny *Hajoty*, Przegląd nasz wreszcie nowellę pani *Marrené*. Co tu kobiet! Co tu kobiet... w fejletonie!

— W Przewodniku naukowym" umieszcza p. *Bronisław Czarnik* życiorys Łukasza Górnickiego.

— *Biornstjerne Björnson* słynny pisarz norwegski obchodził w b. m. 25 letni jubileusz. Tegoż dnia r. 1857 wydał on pierwszą swoją nowellę: „Synnowe Solbakken."

— Ostatni zeszyt Ateneum zawiera powiastkę: Na scenie i za kulisami pióra *Juljana Morosza.*

— Tygodnik illustrowany przeszedł na własność księgarni Gebethnera oraz pp. Jenikego i Pawińskiego. Może ta zmiana nieco go rozruszy, bo strasznie wiek późny uczuć mu się dawał.

— Jeden z krakowskich literatów przerabia dla naszej sceny „Starą baśń" *Kraszewskiego.*

Z dziedziny malarstwa, rzeźby, muzyki, teatru i architektury.

— Na wystawę Tow. Sztuk pięknych przybyło duże płótno *Lentza*: Król Lir, oraz dwa wdzięczne obrazki rodzajowe *Koniuszki* i „Banderja huculska" Rybkowskiego.

— Pani *Jeske Choińska* przerabia na libretto operetkowe komedję Zalewskiego: Spudłowali, poczem dorobiwszy muzykę ma zamiar ułożoną przez siebie operetkę wystawić na scenie warszawskiej.

— Bluszcz drukuje „Kilka wspomnień o Szopenie" Wielisława.

— Panna *Hermanówna*, artystka opery warszawskiej, udaje się na gościnne występy do Pragi.

— *Otton Hausner* drukuje w Reformie sprawozdania z wystawy międzynarodowej sztuki w Wiedniu. Sprawozdania te bardzo wykwintne, pełne wyższych poglądów krytycznych, zalecają się też językiem i barwnym stylem.

— Pan *Karol Matuszewski* opowiada dzieje gotyku w „Inżynierji i budownictwie."

— Bardzo ładną „główkę kobiecą" p. *Grocholskiego* widzieliśmy.... w przejeździe do Warszawy.

TREŚĆ Nru 10go: Po dziesięciu latach, nowella Walerji Marrené. Posłannik poemat z pozostałych pism Mieczysława Romanowskiego (dokończenie). Ustęp z życia Mickiewicza: Uwięzienie i wyrok wygnania, napisał Dr. T. Ziemba. Pamiętniki Tymoteusza Lipińskiego (ciąg dalszy). Przegląd literacki: Bibliografja Estreichera i Literatura polska Chociszewskiego. Przegląd artystyczny: Opera lwowska, przez Maurycego Siebera. Drobne wiadomości literackie, naukowe i artystyczne.
ODCINEK: Kronika przez K. B.

Do tego Nru dołącza się reprodukcja z obrazu Hipolita Lipińskiego: „W ogrodzie."



Rysunek H. Lipińskiego. Odbito w Litogr. A. Pruszyńskiego w Krakowie.

W OGRODZIE.